

Odwiedziny cara i upamiętnienie tej wizyty pod Śniadowem,
dramat w „Przytulisku dla weteranów”, pod Ostrowią sprali skórę Moskalom, a żołdacy
spalili w odwecie wioskę, spiszek mniemany w Sterdyni

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzela.
Ilustracja wyróżniająca opracowanie:
Car Mikołaj II obserwuje przebieg wielkich manewrów roku 1897.
Źródło: Manewry 1897 r., na portalu Livejournal livejournal.com.

W roku 1897 car Mikołaj II złożył wizytę w Królestwie Polskim. W podzięcie za okazaną łaskę zaszczyceni poddani odwdzięczyli się darem w postaci miliona rubli. Samodzierżawca dar przyjął, za co pięknie podziękowano. Tym, którzy oglądali i tym, którzy nie mieli okazji, by obejrzeć film *Matylda*, należy się informacja, że w świecie carskiej był Feliks Adam Krześciński, ojciec tytułowej bohaterki, a polskiej tancerki, która przeszła do historii jako kochanka imperatora.

Car odwiedził także nasz szeroko pojęty region, gdzie obserwował zakrojone na wielką skalę manewry¹. Okazuje się, że władca nawiedził wioskę Olszewo pod Śniadowem. Na miejscu uświęconym stopą cara stanął rychło pomnik, o czym z niesmakiem donosi pismo wychodzące w Krakowie.

Jakiś czas temu zamieszczono na tych łamach opowieść poświęconą wydarzeniom Powstania Styczniowego w regionie². Ilustrację wyróżniającą tamten artykuł stanowiła fotografia prezentująca weteranów Powstania, który znaleźli dach nad głową i wikt w krakowskim „Przytulisku”. Na fotografii uwiecznieni zostali m.in. powstańcy z okolicy – Piotr Derlatka i Karol Wrona. Cieszyło nas, że ci dwaj dzielni, umęczeni ludzie znaleźli opiekę na starość. W piśmie wychodzącym we Lwowie, natrafiliśmy jednak na artykuł opisujący nader krytycznie warunki panujące w owym „Przytulisku”, które dla niektórych pensjonariuszy stało się miejscem wręcz męki. Artykuł pochodzi z roku 1900, pozostaje zatem żywić nadzieję, że do roku 1908 sytuacja uległa poprawie. W tym bowiem roku zamieszkał tam Piotr Derlatka, a Karol Wrona dwa lata później.

Pijane żołdactwo z carskich koszar w Komorowie przychodziło do wioski Stok, by zaczepiać dziewczęta, popełniać gwałty i czynić najróżniejsze barbarzyństwa. Zmówiły się zatem tamtejsze parobczaki, sprawiając Moskalom tegie lanie. Żołdacy puscili z zemsty całą wioskę z dymem.

Doktor Adam Jarosiński informuje o wydarzeniach, do których doszło w sterdyńskim piwiarni w roku 1896. Bardzo przypominają te, jakie rozegrają się kilkanaście lat później nad Węltawą w gospodzie „Pod Kielichem”. Rolę wywiadowcy Bretschneidera odegrał w Sterdyni strażnik ziemski Poświniuk, a naszym regionalnym Szwejkiem był niejaki Kierył.

¹ Więcej o tych manewrach w artykule Krzysztofa Ościłowskiego, [Wielkie manewry wojskowe w guberni łomżyńskiej w 1897 oraz w 1912 roku...](#)

² Artykuł nosi tytuł [1863](#).

Bardzo interesujący list otrzymaliśmy od pana Stefana, a ciekawy, tym bardziej że autor jest człowiekiem w wieku już mocno zaawansowanym i słusznym, bo siedemdziesięcioletnim.

Nasz korespondent pragnie podzielić się z czytelnikami wrażeniami i wnioskami płynącymi z ostatniej wizyty prawników. Każda taka wizyta jest powodem sporego zamieszania w domu czytelnika, ale zarazem okazją do cennych obserwacji. Prawnuk ma lat jedenaście, prawnuczka zaś dwanaście, a jak wiadomo, dzieci w tym wieku są szczególnie uzdolnione w kierunkach informatyczno-elektronicznych.

Pan Stefan przyznaje, że jeśli chodzi o zamieszanie, to ten wątek listu stanowi reminiscencję z wizyt poprzednich. To problemy przeszłości, bo dwójka niegdysiejszych małych rozrabiaków, spędza obecnie czas z nosami utkwionymi, w jak to czytelnik określił – „smarkfonach” (chodzi z pewnością o „smartfony”). Wbrew panującym stereotypom, pan Stefan uznaje to zjawisko za bardzo pozytywne, bo zapewnia święty spokój osobom udzielającym gościny. Zresztą, jakie wspólne tematy do rozmów mogą znaleźć osoby, które dzieli ponad sześćdziesięcioletnia różnica wieku? Jasne, że żadne i należy z tym się pogodzić!

Tradycyjnie, przez wieki, po kilku zdawkowych zdaniach inaugurujących spotkanie, następowała krępująca cisza, a mózgowie styki nerwowe rozgrzewały się do czerwoności, poszukując jakiegokolwiek nici porozumienia – oczywiście, bez rezultatu. Kończyło się z zasady standardowym pytaniem: „Jak tam w szkole?”. Teraz prawnuki zamykają się w swym wirtualnym świecie, natomiast pan Stefan włącza telewizor, oglądając jakiś serial czy teleturniej i wszyscy są zadowoleni. System taki eliminuje potrzebę rozmowy, co pan Stefan uważa za jego główną zaletę. Rzadko się zresztą zdarza, że rozmówcy mają na dany temat opinie współgrające, a jeżeli mają, to rozmowa taka nie ma najmniejszego sensu, gdyż do niczego nie prowadzi.

Najczęściej interlokutorzy mają na dany temat zdania odmienne, a nawet diametralnie różne, o czym przekona się każdy, kto nie szanując własnego czasu i zdrowia, poszuka w telewizji jakiejś dysputy politycznej. Po godzinie przekrzykiwań wszyscy dyskutanci pozostają przy swych stanowiskach, a nawet jeszcze bardziej radykalizują swe poglądy, telewidzowi zaś ciśnienie skacze w okolice 200 mmHG, więc sięga po telefon i wzywa erkę.

Obserwując komunikację z dwójką młodocianych, którzy nawiedzili jego dom, a którzy nie rozstawali się ze słuchawkami w uszach, zauważył Pan Stefan, że jeśli rozmawiać to najlepiej na migi. Podstawowe informacje można z łatwością przekazać gestami, nawet nie znając języka migowego. Jego nauka jest zresztą niewskazana, gdyż umożliwiłaby prowadzenie debat rozszerzonych np. politycznych, co prowadzi do rodzinnych konfliktów. Nasz korespondent twierdzi jednak, że nawet osoby biegle tym językiem władające, zwykle nie są w stanie wywołać ekstremalnych emocji. Przyczyna leży w krótkości takiej aktywności, jako że machanie rękami należy do zajęć wyczerpujących.

Bardzo pozytywną stroną omawianych wizyt jest fakt, iż wpływają na uporządkowanie wielu domowych spraw. Należy do nich np. nastawienie zegarów elektronicznych na właściwy czas, bo jak wiadomo, w tego typu zegary wyposażone są prawie wszystkie współczesne urządzenia domowe, jak dajmy na to mikrofalówka. By tego dokonać, musiałby pan Stefan oddać się lekturze instrukcji obsługi, czego nasz czytelnik wyjątkowo nie lubi. Dzieciaki tymczasem dokonują tego momentalnie, niemal instynktownie, jakby przy urodzeniu wszczepiano im do

mózgu jakiś chip (zdaniem redakcji nie można tego wykluczyć). Tym samym, po wyjeździe wnuków, przez jakieś góra dwa dni wszystkie zegary w domu pana Stefana wskazują ten sam czas. Dwa dni, gdyż pan Stefan mieszka poza miastem i jest to maksymalny okres, przez który komuś w elektrowni starczy cierpliwości, by nie wyłączyć prądu przynajmniej na kilka sekund, a tym samym zresetować wszystkie zegary. Czasami dochodzi w ciągu krótkiego czasu do tak wielu wyłączeniowych epizodów, iż pan Stefan podejrzewa, że komuś w elektrowni przyszło zajmować się swymi małymi dziećmi w godzinach pracy. Z braku innej alternatywy zabrał swe pacholęta do wielkiej sali operacyjnej i pozwala im na zabawę przełącznikami. W sumie nie jest to takie groźne. Gorzej, gdyby na taki sam pomysł wpadł pilot wielkiego pasażerskiego samolotu.

Nieco dłużej, bo nawet kilka miesięcy po wyjeździe prawnuczków działają też wszystkie telewizyjne MUX-y, bo osoby odpowiedzialne za ich prawidłowe działanie obdarzone są zapewne znacznie większą dozą cierpliwości od tych z elektrowni i znacznie rzadziej ogarnia ich przemożne pragnienie, by coś wyłączyć. A może pracują tam wyłącznie osoby bezdietne?

Prawnuki wpadły na kilka godzin w święta Bożego Narodzenia. Narzekały na chłód w domu, bo rzeczywiście ze względu na wysokie ceny nośników energii, stara się pan Stefan swego domostwa nie przegrzewać. Proszę sobie wyobrazić, jak dobre serce ma prawnuczek, skoro po kilku miesiącach zaproponował pomoc w rozwiązaniu problemu. Wraz z nieco starszymi kolegami zaoferował włamanie na konto stosownego przedsiębiorstwa i skorygowanie rachunków. Z jednej strony przeraża to pana Stefana, z drugiej zaś świadczy o zaradności młodego człowieka. Redakcja jednakowoż uważa, że to żadna nowość, bo podobna błyskotliwość charakteryzowała nastolatków i przed wiekami. Jak wynika z lektury powieści Charlesa Dickensa, właśnie milusińscy byli najzręczniejszymi kieszonkowcami.

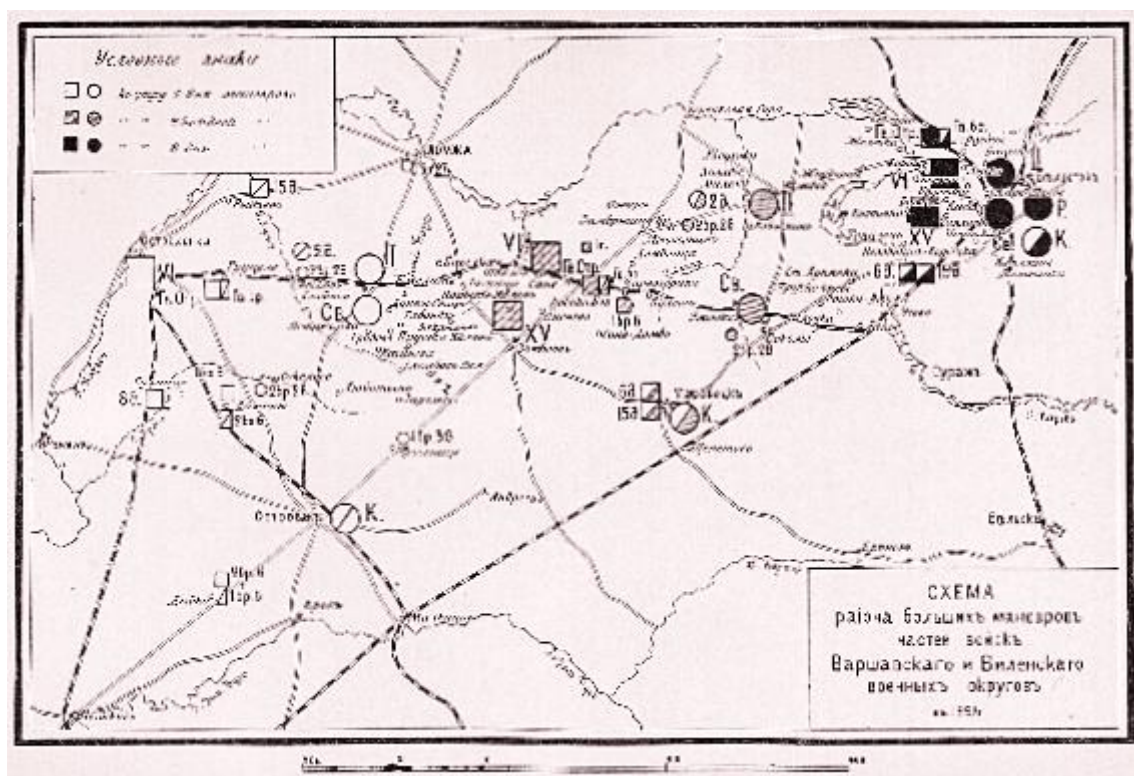
A propos radzenia sobie w życiu. Pan Stefan zauważył, że jeśli chodzi o wynoszenie śmieci, czy zmywanie naczyń, to dzieciaki wymigiwały się od tak prozaicznych zajęć. Zaobserwował także, że przez pierwsze trzy godziny kontaktu, gdy jeszcze próbowano rozmawiać, starały się mieć zdanie w każdej nieprozaicznej sprawie, wciąż podkreślając, że dzisiejszy jedenastolatek, to dwudziestolatek sprzed lat kilkudziesięciu. Pan Stefan wpadł zatem na genialny pomysł rozwiązania problemu braku rąk do pracy, a tym samym uchronienia funduszy emerytalnych od niechybnej zguby. Zgódźmy się z nastolatkami, że są znacznie bardziej odpowiedzialne i inteligentne od swych rówieśników sprzed lat. Tym samym maturę winny zdawać w wieku lat czternastu, a studia kończyć w wieku lat maksimum dwudziestu. Tym sposobem obniżylibyśmy wiek podjęcia pracy przez młodych ludzi, odsuwając widmo pracy do śmierci od siedemdziesięcioletnich przyków, niepotrafiących zsynchronizować dekodera z telewizorem.



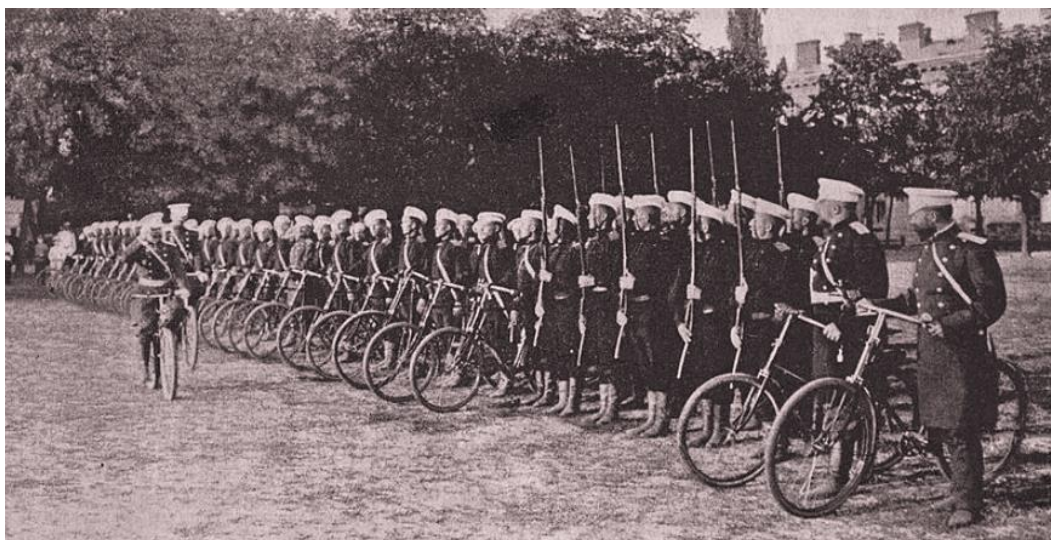
PRZED PRZYJAZDEM

W niedzielę dn. 29 bm. wieczorem z Nowego Peterhofu wyruszyły dwa pociągi dworskie. Pierwszy pociąg nadzwyczajny złożony z 16 wagonów, ciągnionych przed 2 lokomotywy, wyruszył z Nowego Peterhofu o godz. 10 wieczorem, podług czasu petersburskiego, jadąc z szybkością 50 wiorst na godzinę; drugi zaś złożony z 10 wagonów i dwóch lokomotyw, i jadący z szybkością 42 wiorst, wyruszył z Petersburga godzinę po pierwszym, tj. o 11 wieczorem.

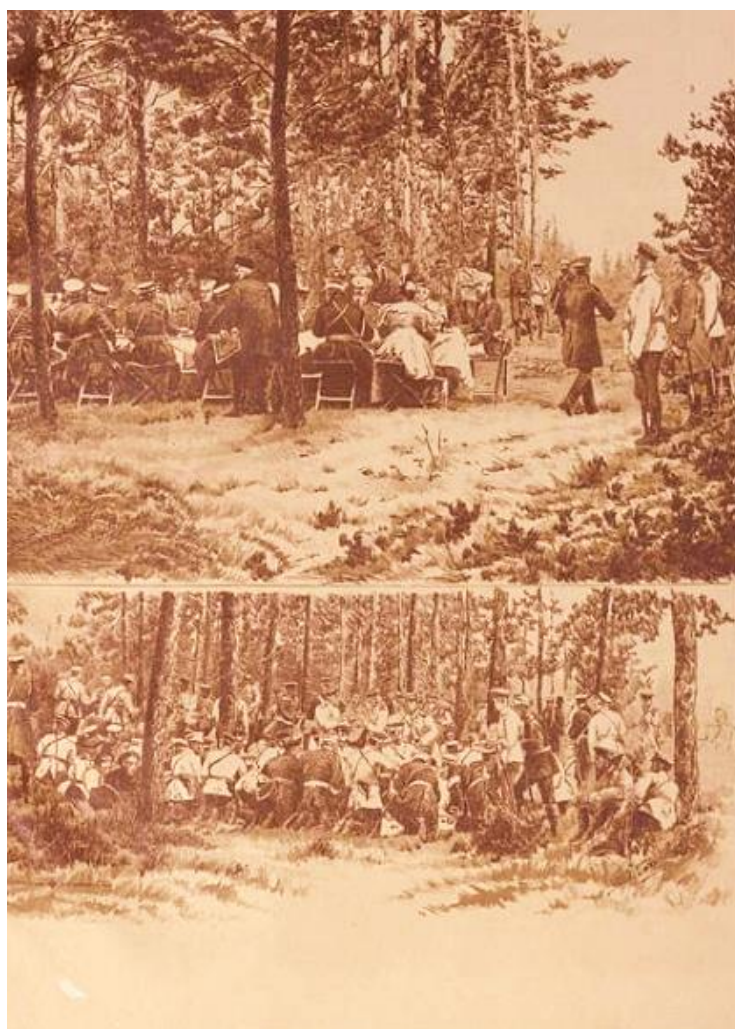
Obydwa pociągi od stacji Łapy przeszły na kolej nadnarwiańską, którą Ich Cesarskie Moście Najjaśniejsi Państwo wraz z Najdostojniejszą rodziną udali się do miejscowości Czerwony Dwór [Czerwony Bór], jako ważnego punktu odbywających się w tamtej okolicy wielkich manewrów wojskowych, stamtąd zaś Najjaśniejsi Goście dziś po południu przybędą do Warszawy.



Plan obszaru wielkich manewrów roku 1897
z udziałem wojsk Warszawskiego i Wileńskiego Okręgu Wojskowego,
zamieszczony w Rosyjskiej Encyklopedii Wojskowej, nr porządkowy 83866.
Źródło: Portal Runivers runivers.ru.



Cyklści – nowa formacja biorąca udział w wielkich manewrach 1897 r.
Źródło: *en.topwar.eu*.



Wielkie manewry 1897 r. – obiad w lesie³.

³ *Wielkie manewry pod Białymstokiem w roku 1897*, aut. ilustracji Edward Sokołowski, Sankt Petersburg 1897.

SPRAWY POLSKIE W ZABORZE ROSYJSKIM

Ludzie ciemni często dają składki pod naciskiem władz moskiewskich i sądząc, że za odmowę mogą być ukarani. Inni zaś myślą, że za grosz Moskałom dany zaskarbią sobie łaskę rządu. Ma się rozumieć, żadnej łaski nie doznają za swoją nikczemność.

We wsi Olszewie, gminie Śniadów, pow. łomżyńskiego, na miejscu pobytu cara w roku zaprzeszłym, wystawiono pomnik. Jest to bryła kamienna z napisem wyrażającym wiernopoddane przywiązanie gminy do cara. W dniu odsłonięcia tej pamiątki, wystawionej za wymuszony, krwawo zapracowany grosz polskiego ludu, zjechały władze z Łomży, wobec których dokonano ceremonii. Spędzony z okolicznych wiosek lud pod przewodem sołtysów, a dozorem straży ziemskiej, z krzyżem i chorągwiami ruszył procesjonalnie do pomnika. Poświęcenia dokonał proboszcz miejscowy ks. Talarowski. Na pomniku, dla przyciągnięcia serc ludu zawieszono obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Udział ludności pomimo wszelkich starań ze strony władz, która nawet przybyłych na jarmark wyganiała na procesję, był bardzo skromny i wyraźnie wymuszony.

Takie pomniki, to pamiątki naszego pohańbienia, naszej słabości wobec wrogów. Nie powinny one plugawić ziemi polskiej, świętej ziemi ojców naszych, krwią męczenników za wolność i ojczyznę zbroczonej. I nie będą plugawiły, gdy lud do świadomości narodowej dojdzie.

Ksiądz Talarowski, zdziecinniały starzec, nie miał odwagi oprzeć się gwałtowi, choć mógł się bronić prawem i odmówić poświęcenia pomnika moskiewskiego. Zresztą, chociażby mu za odmowę groziła kara, kapłan katolicki i Polak prawy, powinien był wytrwać w postanowieniu i nie dawać złego przykładu parafianom.



Wielkie manewry 1897 r. – car w rozmowie z głównodowodzącymi.

Źródło: Manewry 1897 r., na portalu Livejournal livejournal.com.

HANIEBNA GOSPODARKA

Znany literat p. J. J. Richter wydał pt. „Czy ludzie?” list publiczny w sprawie weteranów wojsk narodowych z r. 1863. Pan Rychter – jeśli się nie mylimy – zabierał już raz głos w tej sprawie, opisując straszną niedolę 78-letniego starca, „bohatera spod Koszowatej”, ginącego z głodu i niemającego dachu nad głową, zmuszonego nocować na „plantach” krakowskich. Pisma codzienne w ostatnich czasach zaznaczyły kilka podobnych faktów.

„Dziennik Polski” wychodzący we Lwowie, wzywał niedawno publiczność do składek na rzecz weterana z r. 1863, starca 70-letniego, b. obywatela wiejskiego, który cały swój majątek złożył na ołtarzu Ojczyzny, a dziś, gdy oczom jego zagraża ślepotą, odwoływać się musi do publicznej litości, żebrać o grosz na leczenie się.

I znowu niedawno temu czasopismo „Naprzód” podniosło okrzyk grozy, że tuła się po mieście człowiek, który brał bardzo wybitny udział w ruchu narodowym 1863 r., a dziś jest żebrakiem, odrzuconym nawet przez tzw. „Przytulisko weteranów”, dlatego że osoba jego nie podobała się szakalom, arendującym owo przytulisko.

O śp. Krukowieckim pisze świadek jego czynów: „Patrzyliśmy na tego bohatera, jak w Krakowie błakał się po ulicach prawie bez butów, wydawszy ongi wszystkie swoje fundusze na świętą sprawę odrodzenia Polski!”.

Niemal co kilka dni – pisze p. Rychter – czytać można w tym lub owym piśmie o niedoli jakiegoś weterana b. wojsk polskich, który jako dzielny ongi obrońca ojczyzny, ginie dziś na bruku, niby wyrzutek tej ojczyzny, na której ołtarzu składał mienie i krew.

Hańba! Stokrotna hańba! Nie społeczeństwu, bo ono jest zawsze tklive i ofiarne, ale hańba, przekleństwo tym, którzy wysunawszy się na czoło naszych humanitarnych instytucji powstańczych, rządzą nimi jak najpodlejsi czynownicy rosyjscy!

Towarzystwo Wzajemnej Pomocy Uczestników Powstania Polskiego z r. 1863 liczy członków czynnych, a więc takich, którzy w ewentualnym wypadku mają prawo do wsparcia przeszło 850 ludzi! Kto zna nasze opłakane warunki materialne w kraju, ten wie, że z 850 ludzi, stanowczo pół jest prawie, jeśli nie zupełnie bez chleba!

Oprócz członków czynnych, którzy uiszczają składki, jest kilkuset członków wspierających. Fundusze zaś Towarzystwa bywają dzielone w następujący sposób: zapomogi jednorazowe dane w r. 1899 – 626 złr.⁴; zapomogi stałe dla okaleczonych i zniedołężniałych członków – 950 złr.; wdowom i sierotom po uczestnikach – 632 złr.; lekarstwa i pogrzeby – 165 złr. Lokal i inne uboczne wydatki pochłonęły 1174 złr.! Tytułem stypendiów rozdano między rozmałą dziatwą szkolną (po uczestnikach) 1969 złr.! Odsetki zaś z funduszów, które przypadły na rzecz Towarzystwa po rozwiązanej Opiece Narodowej, przeznaczono jako stypendia dla uczniów i uczennic seminariów nauczycielskich – a weterani giną z głodu!

⁴ Skrót oznaczający złotego reńskiego, monetę austriacką, a następnie austro-węgierską o wadze 12,34 grama, bitą ze srebra próby 900 [przyp. aut. opracowania].

Spółeczeństwo polskie, stojące poza obrębem tej okropnej gospodarki, jest przekonane, że najszlachetniejsi w narodzie, a czcigodni weterani b. wojsk polskich z r. 1863, ci najubożsi, a wstydzący się żebrać, są rzeczywiście zabezpieczeni, gdy tymczasem tułają się oni po brukach rozmaitych miast i giną z głodu! Kilku zaś z nich odbywa dobrowolną karę ciężkiego więzienia w tzw. „Przytulisku dla weteranów” w Krakowie.

Słusznie powiada autor „listu publicznego”, że popieranie oświaty jest rzeczą piękną, ale nie kosztem funduszu przeznaczonego na zasłużonych weteranów. Ten dziwny humanizm nazywa p. Rychter po prostu zbrodnią. Jest to wyrażenie za silne w tym wypadku, natomiast zastosować je można bez zastrzeżeń do postępowania w tzw. „Przytulisku uczestników powstania polskiego z 1863 r.”, znajdującym się w Krakowie. To „Przytulisko” zażywa smutnej sławy i znanym jest między weteranami pod nazwą „katorgi polskiej”.

W ciasnych, wilgotnych izdebkach „Przytuliska”, mieszka 20 osiwiiałych biedaków, lichy żywionych i traktowanych przez zarząd instytucji, brutalnie, a nawet okrutnie. Jednego z nich p. Radeckiego, niegdyś dzielnego żołnierza i Sybiraka, dziś schorowanego starca, o którym jego koledzy, między innymi śp. Zielonka, autor „Wspomnień z Syberii” wyrażają się z niekłamany szacunkiem – prześladowano w sposób barbarzyński i na koniec, na podstawie głupiej denuncjacji z „Przytuliska” wyrzucono.

Dozorca budynku samowolnie skazuje weteranów na różne kary, między innymi na tzw. kobylicę. Oto jak p. Rychter według słów p. Radeckiego tę okrutną karę opisuje:

Co to jest „kobylica”? Jest to wstrętne narzędzie tortur, o jakim pojęcie miała chyba tylko osławiona inkwizycja hiszpańska, a którym do niedawna jeszcze posługiwano się w „Przytulisku”. Podobno „kobylicę” aplikował patriotom polskim Murawiew „Wieszatiel”, jeśli chciał wydobyć z nich jakie zeznania.

„Kobylica” to sobie zwykły, z desek zrobiony ostry daszek trójkątny, przymocowany podstawą do dwóch grubych bali wbitych w ziemię.

Na taką „kobylicę” wsadzano weterana zwykle na półgodziny i... miał dosyć! Zleźć z kobylicy o własnej sile już nie mógł. Musiano go do izby wnosić, tam kilka dni wysiedział, lecząc się z okaleczenia odnośnej części ciała i rozmyślał zapewne, gdzie było lepiej? Czy w katorze moskiewskiej, czy w „Przytulisku weteranów”, zostającym pod opieką pana Teodora Kułakowskiego.

Nie koniec na tym. Temu haniebnemu sposobowi karania naszych weteranów polskich, towarzyszyło na dobitkę – urągowisko publiczne! Ten drewniany koń, czyli jak go szyderczo-dowcipnie nazwano „kobylica”, stał na podwórzu i w chwili, gdy skazany weteran siedział na nim – uliczna gawiedź przypatrywała się tej barbarzyńskiej egzekucji przez parkan i szerokie szpary bramy lub wbiegała wprost z hałasem na podwórze. Drwiny i zjadliwe dowcipy sypały się na głowę nieszczęsnego weterana, a przeznaczony do egzekucji kontroler (również weteran) odmierzał z zegarkiem w rękę czas trwania kary!

Nawet zbrodniarzy w ten sposób karać nie wolno, tym bardziej ludzi bądź co bądź zasłużonych i steranych życiem za drobne wykroczenia, które należy pobłażliwie traktować.

Zarówno w zarządzie „Przytuliska” jak w zarządzie Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Weteranów Wojsk Polskich zasiadają ludzie poważni i uczciwi, ale niedołężni, którzy w szczegóły gospodarki oby tych instytucji nie wglądają i szanownymi nazwiskami swymi

osłaniają popełniane przez innych nadużycia. Autor „listu publicznego” zwraca się do członków, wspierających obie instytucje z żądaniem, żeby w sprawie, którą porusza, zrobili raz wreszcie porządek.

Nie spodziewając się jednak poparcia z tej strony, apeluje do całego społeczeństwa polskiego, ażeby spełniło „obowiązek narodowy” i zajęło się „dolą nieszczęśliwych niedobitków wielkiego pogromu”.

Gdyby zarzuty, które p. Rychter podnosi, w połowie tylko były uzasadnione, haniebna lub nierozumna gospodarka w obu instytucjach wymagałaby radykalnej zmiany. Sądzymy jednak, że opowiadanie p. Rychtera nie jest bynajmniej przesadzonym, a utwierdza nas w tym przekonaniu fakt, że na zarzuty w poprzednim „liście otwartym” kategorycznie i jasno wyrażone, nikt nie odpowiedział, nikt ich nie odparł, bo przypuszczać trzeba, odeprzeć nie mógł.

Zwracamy uwagę czytelników na tę sprawę, bo zgadzamy się z autorem listu publicznego, że byłoby hańbą, gdyby dwudziestomilionowy naród polski nie mógł czy nie chciał zaopatrzyć smutnej starości, szczupłej z dniem każdym garstki żołnierzy, którzy za jego prawa nieprzedawnione, krew przelewali. Byłoby tym bardziej hańbą, gdyby społeczeństwo patrzyło nadal obojętnie na poniewieranie tych starców, na nikczemne pastwienie się nad nimi za urojone lub chociażby nawet istotne wykroczenia. Ci ludzie mają niezaprzeczone prawo do opieki publicznej i nie powinni żebrac, jak to się często zdarza o kawałek chleba, o dach nad głową.



Weterani z 1863/4 roku mieszkający w „Przytulisku” uczestników powstania w Krakowie.
Pierwszy rząd od góry z lewej ku prawej stronie: Bogusławski Teodor. Raszewski Antoni. Lutyk Jan. Bogacki Walenty.
2-gi rząd: Gnoiński Antoni. Wrona Karol. Szybejko Michał. Wiatecki Stanisław. Horbowski Władysław. Derlatko Piotr.
Radomski Ferdynand. Seweryn Franciszek. Opach Mateusz. Satara Kasper. Kania Marcin.
3-ci rząd: Ścigalski M. Tarabufa Jan. Marcinkowski Piotr. Gumpert Edw. Krzyżanowski L. Marcinkowski Jan. Wink Adolf.
4-ty rząd z dołu: Meyer Adam. Gryglewski Konstanty. Garbolewski Jan. Kietzia Alfred. Gąsiorowski Antoni.
Olekiewicz Kazimierz. Prymaszewski Jan.

Weterani Powstania 1863 r. mieszkający w krakowskim „Przytulisku”.

Fotografię wykonano między 1910 a 1913 r.

Źródło fotografii portal: genealogia.okiem.pl.

[„Polak : pismo dla wszystkich”, nr 10 z października 1901 r.]

LISTY DO „POLAKA”

Oto jeden jeszcze przykład swawoli moskiewskiej.

Wioska Stok w powiecie ostrowskim, w guberni łomżyńskiej, spalona została przez żołnierzy, stojących na kwaterach w Komorowie.

Żołnierze przychodzili do wioski, zaczepiali dziewczęta, popełniali gwałty i barbarzyństwa. Niektórzy gospodarze namówili tedy swoich parobków i dzielni chłopcy tego sprali skórę Moskałom.

Strażnik spisał protokół, była sprawa w gminie i żołnierze cieszyli się zawczasu, myśląc, że sąd bardzo srogo ukaże przestępców. Stało się jednak inaczej.

Sąd gminny nazначył bardzo lekkie kary, a nawet tego gospodarza, którego córki zaczepiali żołnierze, skazał tylko na 7 rubli kary. Wyrok wydany został w piątek, a w sobotę o godzinie 3 w nocy wybuchł w Stoku pożar. Spaliło się 76 zabudowań, mnóstwo narzędzi gospodarskich, bydła, owiec, świń. Straty wynoszą około 30.000 rubli.

Kiedy przyjechał z Ostrowi naczelnik straży ziemskiej dla sprawdzenia wypadku, wyszli do niego ludzie z płaczem, skarżąc się, że to żołnierze przez zemstę podpalili wieś. Moskał wpadł we wściekłość i jednego staruszka (miał 80 lat) uderzył szpicrutą po twarzy, aż się krwią zalał. Drugiemu dostało się kilka razy przez plecy. Potem podbiegł do gospodarza, u którego złożone było siano dla koni żołnierskich i o mało go nogami nie kopał, krzycząc: „A czemu ty siana nie ratował, kiedyś widział, że gore?!”.
– Panie naczelniku – tłumaczył się biedak – ja ledwo dzieci uratować mogłem.

Tak to dzicz moskiewska na wszystko sobie w nieszczęsnym naszym kraju pozwala.

[„Gazeta Podlaska”, nr 29 z 29 lipca 1923 r.]

LISTY ZE STERDYNI Spis ludności a unici

Późną jesienią 1896 r. (o ile mnie pamięć nie myli) wśród odpornej unickiej ludności naszego Nadbuża, wystąpiło pewne podniecenie. Wyszedł „Ukaz” carski, by w całym imperium, w oznaczony dzień odbył się jednodniowy spis ludności.

Ukaz obwieszczał, by przy rejestrowaniu nie stosowano nacisku, by każdy podawał się takim, za jakiego się uważa. Unici, których dotychczas wbrew ich woli, notowano jako prawosławnych, postanowili urzędownie podać się za katolików i cieszyli się nadzieją, że wreszcie rząd da mi spokój.

Nie na rękę to było miejscowym popom, którzy na dawniejszych unickich parafiach pędzili próżniaczy żywot, otrzymywali od rządu niezłe pensje, mieli pokaźny dochód z gospodarstw i korzystali z dworskich serwitutów. Popi utajali prawdziwy stan rzeczy i w swych rocznych wykazach starali się udowadniać, że bądź co bądź, prawosławie wśród opornych czyni postępy.

U nas do sporządzania spisów powołano Rosjan, przeważnie nauczycieli ludowych, którzy od władz miejscowych mieli polecenie, by opornych unitów notowali bezwzględnie jako prawosławnych. Wskutek tego podczas spisu wynikły zatargi, gdyż unicy, opierając się na ukazie, nie godzili się, by ich notowano jako prawosławnych, wbrew jednak ich woli czyniono odwrotnie.

Zdarzało się, iż w wielu miejscach oburzona ludność wypełnione nie po jej myśli szmaty odbierała i takowe darła, gdzieś tam panów rejestratorów nieco poturbowano. W rezultacie rejestracja uskuteczniłą została w biurach powiatu, niezawodnie podług wskazówek miejscowych popów, a na oporną ludność sporządzono protokoły i takowe przesłano do Siedlec.

W rzędzie tych spraw znalazła się i moja sprawa, którą w krótkości jako charakterystyczną opiszę.

Na parę dni przed spisem jednodniowym wybrał się do Sterdyni na schod [zebranie] gminy żyjący do dziś dnia Walenty Kierył, gospodarz z Dziecioł. Kierył po drodze wstąpił do tutejszego dworu i od rachmistrza śp. Sójki pożyczył numer „Wieku”, w którym obszernie była traktowana sprawa spisu jednodniowego. Przed rozpoczęciem gminnego zebrania, Kierył wstąpił do piwiarni, rozłożył gazetę i czytał. Otoczyli go gospodarze i poprosili, by czytał głośno. W tym czasie wszedł do piwiarni miejscowy strażnik Poświniuk i zdumiał się, gdy usłyszał, że unita tj. prawosławny ma prawo podać się za katolika. Głównym wszak zadaniem Poświniuka w Sterdyni było łapanie unitów na gorącym uczynku, gdy spełniali obrządki duchowe według kościoła katolickiego, na notowaniu tych, którzy zamiast do cerkwi, chodzą do kościoła. Nie wytrzymał więc biedaczysko, uważał za stosowne przystąpić do pełnienia swoich obowiązków, aresztował Kieryła, mówiąc, że ludzi buntuje i osadził go w gminnym areszcie.

Wieczorem tegoż dnia zjawił się naczelnik Straży Ziemskiej Bezakiszyn, dokonał rewizji w mieszkaniu Kieryła i jakkolwiek nic podejrzanego nie znalazł, uznał, iż niewątpliwie jest na tropie groźnego dla podstaw państwowych spisku, że na czele spisku stoi prawdopodobnie Ludwik Górski, a współdziałają z nim administracja majątku i inni miejscowi inteligenci. Tejże nocy Kierył pod eskortą wysłany był do innego aresztu przy gminie Sabnie.

Na drugi dzień zjawia się u mnie teść Kieryła i radzi się, co ma czynić, gdyż odwiedzał aresztowanego zięcia i widział, że jest przybity i chory. Poradziłem, by K. zameldował o chorobie i zażądał lekarza. Jakoż następnego dnia otrzymałem urzędowe wezwanie z powiatu, bym odwiedził chorego aresztanta i bym doniósł, co znajdzie. Oczywiście stwierdziłem, że K. jest chory, że należy go umieścić w domu lub w szpitalu. Moja interwencja odniosła skutek. K. odesłano do szpitala, ale nie do Sterdyni tylko do oddalonych Wyróżeb.

Na skutek prośby rodziny Kieryła, napisałem list do dr. Wiszniewskiego, który podówczas pracował w Wyróżebach, tej treści: „Kochany Kolego! K. jest najpocześniejszym człowiekiem pod słońcem. Moskale aresztowali go bez powodu, broń go i nie dopuść, by go z powrotem wzięli w swoje ręce”.

List ten, przez nieostrożność oddawcy dostał się do rąk policji i miano ochotę oddać mnie pod sąd. Przeciw mnie i unitom, którzy czynili wstręty [protestowali, stawiali opór] podczas spisu jednodniowego, nie umiano w Siedlcach sformułować aktu oskarżenia. Wezwano w tym celu z Warszawy prokuratora Turau`a, ale i ten nie mógł znaleźć paragrafu, według którego, można byłoby pociągnąć nas do odpowiedzialności.

Dr A. Jarosiński



Wielkie manewry 1897 r. – przyjazd imperatora⁵.



Wielkie manewry 1897 r. – zwiadowcy⁶.

⁵ *Wielkie manewry pod Białymstokiem...*

⁶ Tamże.